

JANG JIN-SUNG

*Drogi
Przywódca*



OD ZAUFANEGO CZŁONKA ELITY DO WROGA PAŃSTWA
UCIECZKA Z KOREI PÓŁNOCNEJ

Prolog

maj 1999

Nieco po północy, gdy właśnie kładę się do łóżka, odzywa się telefon. Postanawiam, że nie odbiorę przed piątym sygnałem, i liczę na to, że przestanie dzwonić wcześniej. Kiedy dzwoni po raz szósty, wyobrażam sobie, że moi rodzice zbudzą się ze złością, więc odbieram, w pełnej gotowości, by powiedzieć do słuchu osobie po drugiej stronie.

– Halo? – W cichym domu mój głos jest jeszcze bardziej natarczywy niż dzwonek telefonu.

– Mówi pierwszy sekretarz. – Na te słowa odruchowo się podrywam i uderzam czaszką w wezglowie. – Ogłaszam nadzwyczajne wezwanie. Macie się stawić do pracy na pierwszą w nocy. Włóżcie garnitur. Nikogo nie powiadamajcie.

Chociaż w tym kraju przyzwyczajono nas do rutynowego wykonywania nawet najdziwniejszych rozkazów, to czuję się niespokojny, bo właśnie otrzymałem polecenie od pierwszego sekretarza. To łącznik naszego komitetu z centralą partii. W normalnych okolicznościach, zgodnie z moją pozycją w hierarchii partyjnej, powinienem otrzymać polecenia od

sekretarza Wydziału 19 albo Sekcji 5. Poza tym użył określenia „nadzwyczajne wezwanie”.

Zwykle odnosi się ono do mobilizacji wojsk. Kiedy Stany Zjednoczone i Korea Południowa prowadzą wspólne manewry na Półwyspie Koreańskim, nasze państwo odpowiada mobilizacją w całym kraju. Nakaz uczestnictwa nazywany jest właśnie „nadzwyczajnym wezwaniem”. Zazwyczaj jednak zostajemy o tym poinformowani z wyprzedzeniem za pośrednictwem umyślnych przecieków. Wobec silnej presji, żeby zdystansować rywali, poszczególne sekcje i jednostki Partii Pracy zawsze usiłują zdobyć przewagę: pracownicy tych, które dzięki koneksjom są dobrze poinformowane, w określony dzień nie ruszają się z pracy, więc meldują się na służbę wcześniej od nieświadomych ludzi, którzy na wieczór rozeszli się do domów.

Gdyby jednak chodziło o rutynowe wojskowe wezwanie mobilizacyjne, nie kazano by mi włożyć garnitur. W przeciwieństwie do zwykłych Północnokoreańczyków zrzeszonych na regionalnych i wydziałowych szczeblach partii, my, członkowie aktywu należący do partyjnej centrali, wiemy, że „nadzwyczajne wezwanie” może również doprowadzić do spotkania z Kim Dzong Ilem, naszym Drogim Przywódcą.

Kiedy ktoś zostaje do niego wezwany, nie jest zawiadamiany wcześniej. Nawet najwyżsi rangą generałowie nie poznają szczegółów operacyjnych takich spotkań. Zaproszenie na spotkanie z Kimem przekazuje pierwszy sekretarz, wezwany do pokoju w gmachu Komitetu Partii zamkniętego przez osobistą straż Drogiego Przywódcy. Pod jej czujnym okiem pierwszy sekretarz otrzymuje listę nazwisk i oddzielnie wzywa każdą z osób. Od strony logistycznej spotkanie zostaje

przeprowadzone w ścisłej tajemnicy. W takiej sytuacji termin „nadzwyczajne wezwanie” to szyfr uruchamiający ów poufny proces.

To samo sformułowanie może jednak mieć jeszcze trzecie, bardziej niepokojące znaczenie. Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego używa go, gdy przeprowadza tajne czystki wśród wysoko postawionych oficjeli. Otrzymawszy nadzwyczajne wezwanie, członek kadry może opuścić dom sam, dbając przy tym, żeby nie obudzić rodziny, a potem zniknąć w obozie pracy albo zostać stracony.

Na szczęście jestem pewien, że ten trzeci scenariusz mi nie grozi. Co więcej, nie mogę się doczekać wyjścia z domu. Zaledwie kilka dni wcześniej pierwszy sekretarz subtelnie napomknął o czekającym mnie zaszczycie.

Zgodnie z poleceniem wkładam swój najlepszy garnitur i krawat. W Pjongjangu po północy nie jeżdżą taksówki, a pojazdy mechaniczne wymagają specjalnej nocnej licencji, żeby poruszać się po tej godzinie. Chociaż na dworze panują nieprzeniknione ciemności, wskakuję na rower i pedałuję do pracy. Rowery to jeden z głównych środków transportu, ale w przeciwieństwie do większości mój błyszczą nowością. Przysłał mi go krewny rezydujący za granicą.

Na ulicach nie palą się latarnie. Cisza stolicy jest tak absolutna, że tylko wyczuwam obecność przechodniów, zanim zamajaczą przede mną ich mroczne sylwetki. Dostawy prądu są stale zagrożone, mimo że miasto obsługują dwie elektrownie. Starzejącą się Pjongjańską Elektrownię Termoelektryczną zbudowano w 1961 roku przy wsparciu ZSRR, a Wschodniopjongjańska Elektrownia Termoelektryczna powstała w 1989 roku, ale żadna nie produkuje dość energii,

żeby jednocześnie zasilić więcej niż jedną dzielnicę. Dlatego prąd niczym wędrowny duch zatrzymuje się w poszczególnych częściach Pjongjangu na około cztery godziny dziennie.

Jeden rejon miasta jest jednak zawsze oświetlony: Joong-gu, usytuowany w sercu Pjongjangu. To tam mieszczą się biura centrali partii, osiedla mieszkaniowe dla wysokich urzędników oraz budynki przeznaczone dla obcokrajowców, takie jak hotel Koryo. Moje miejsce pracy, Biuro 101 Departamentu Zjednoczonego Frontu (DZF), leży w sercu tej rozświetlonej dzielnicy. Kiedy zbliżam się do budynków, widzę, że jest tam jaśniej niż zwykle. Oświetlono teren, a także zwykłe stróżówki. Przekraczając bramę, wołam w duchu: Tak! Spotkam się z Generałem!

Na dziedzińcu stoi co najmniej trzydziestu żołnierzy w ciemnomusztardowych mundurach osobistej straży Drogiego Przywódcy. Noszą charakterystyczne skórzane szelki w kształcie litery X, na których z obu stron zawieszono po pistolecie. Trzy beżowe furgonetki marki Nissan z zasłoniętymi szybami stoją jedna za drugą. Każda zmieści dwunastu pasażerów. Osobiście wita mnie sekretarz partii do spraw południowokoreańskich. Przy nim blednie prestiż pierwszego sekretarza, który dzwonił do mnie wcześniej. Sekretarz prowadzi mnie do dwugwiazdkowego generała z notatnikiem w dłoni, chyba nadzorującego operację. Pozostali żołnierze mówią do niego „towarzyszu wicedyrektorze”.

Generał przelotnie mierzy mnie wzrokiem, po czym burczy:

– Postawić go tam!

Kiedy patrzę we wskazane miejsce, widzę ustawionych gęsiego najwyższych oficjeli w kraju z dziedziny stosunków międzykoreańskich: sekretarza partii do spraw

południowokoreańskich Kim Yong Suna, pierwszego wicedyrektora DZF Im Tong Oka, dyrektora do spraw polityki DZF Chae Chang Guka, wicedyrektora do spraw polityki DZF Park Young Su oraz dwóch innych urzędników z Departamentu do spraw Pokojowego Zjednoczenia Ojczyzny. Atmosfera jest napięta. Widząc sześciu wpływowych ludzi ustawionych w rządku jak dzieci w szkole, czuję się niezręcznie na myśl o przywitaniu się z nimi. Staję na końcu kolejki.

– Spotkamy się z Generałem?

Kiedy szepcę te słowa do mężczyzny przede mną, rozlega się okrzyk:

– Nie gadać! Zrozumiano?!

Patrzę z oburzeniem na żołnierza i zamierzam zażądać, żeby odnosił się do mnie z większym szacunkiem, ale zły błysk w jego oczach szybko sprowadza mnie na ziemię.

Towarzysz wicedyrektor kolejno sprawdza nasze dokumenty na swojej liście. W milczeniu wsiadamy do środkowego samochodu zgodnie z naszą pozycją na liście. Zajmujemy wskazane miejsca. Żołnierz, który nakrzyczał na mnie za szeptanie, wsiada jako ostatni. Myślałem, że potraktował mnie z góry, bo nie skończyłem jeszcze trzydziestki, teraz jednak słyszę, jak odzywa się grubiańsko nawet do oficjeli centrali partyjnej dwukrotnie starszych od siebie.

– Nie odsuwać zasłon! Nie ruszać się z miejsc! Nie rozmawiać! – warczy.

Jeszcze bardziej niepokojące niż jego zuchwałość jest to, że moi towarzysze pokornie przytakują. Wobec osobistej straży Drogiego Przywódcy nawet Kim Yong Sun i Im Tong Ok, dwaj z najwyższej postawionych urzędników w państwie, nic nie znaczą.

Przez otwarte drzwi furgonetki patrzę, jak reszta żołnierzy wsiada do pozostałych samochodów. Wkrótce drzwi zostają zasunięte i włącza się silnik. Kiedy auto rusza, z nerwów skręca mnie w żołądku, ale wiem, że spotkanie z Drogim Przywódcą to cudowne, doniosłe wydarzenie.

Grube brązowe zasłony zakrywają okna i odcinają nas od kierowcy. Nie mogąc wyrzeć na zewnątrz, odczuwam lekką chorobę lokomocyjną. Po dwóch godzinach jazdy w milczeniu czuję ulgę, gdy wreszcie docieramy na stację kolejową. Dochodzi czwarta nad ranem. Wysiadamy. Kiedy odzyskuję orientację, uświadamiam sobie, że to Yongsung, stacja pierwszej klasy. W ponaddwudziestomilionowym państwie było dotąd tylko dwóch obywateli pierwszej klasy: Kim Il Song i Kim Dzong Il. Stacje pierwszej klasy przeznaczono wyłącznie do ich użytku. Po całym kraju są ich rozsiane dziesiątki. Dachy zakamuflowano na zielono, żeby trudno je było wykryć na zdjęciach satelitarnych. Na ziemi budynki są nieoznaczone, otaczają je natomiast wysokie mury i patrolują silnie uzbrojeni strażnicy.

Stacja Yongsung znajduje się na północnych obrzeżach Pjongjangu. Zwykle droga z miejsca, z którego wyruszyliśmy, zajmuje niecałe pół godziny. Poznają okolicę, ponieważ kilkakrotnie mijałem to miejsce. Z początku nie rozumiem, dlaczego podróż trwała tak długo, ale potem nie umiem powstrzymać uśmiechu, kiedy dociera do mnie, że furgonetki celowo jechały okrężną drogą, żeby nas zdezorientować. Przesiadając się z auta do pociągu, przechodzimy kolejne kontrole tożsamości.

Pociąg specjalny przeznaczony na tę okazję różni się od zwykłych pociągów. Boki pomalowano na kolor trawy, a dach

na biało. Z zewnątrz wagon wygląda na wykonany w Chinach: nad klamkami widnieje napis „Pekin” wymalowany jaskrawoczerwonymi chińskimi symbolami. Wewnątrz jednak zauważam rzucające się w oczy logo Mitsubishi, które zdradza, że tak naprawdę wagon pochodzi z Japonii. Fotele zastąpiono pojedynczymi łózkami, a cały wagon nie ma ścian działowych, zapewne po to, żeby strażnicy mogli nas pilnować.

Gdy rozpoczynamy podróż, żołnierz wyszczekuje zasady:

– Nie dotykać zasłon. Koce są pod łózkami. Przez całą podróż leżeć w łózkach. Spać, dopóki pociąg się nie zatrzyma. Jak ktoś chce do ubikacji, to niech da nam znać. Kto złamie którąś z tych zasad, zostanie usunięty z pociągu. Natychmiast!

Szczególny nacisk kładzie na to ostatnie słowo. Czuję, że jeśli wykonam jeden niewłaściwy ruch, zostanę wyrzucony z pociągu oraz z życia pełnego przywilejów. Przez długą nocną podróż nikt nie odzywa się ani słowem, nawet żeby pójść do toalety. Słysząc tylko terkot kół na torach. Zamykam oczy, liczę rytmiczne uderzenia i bardzo staram się zasnąć.

Pociąg specjalny wysłany po zaledwie siedmiu cywili zatrzymuje się około szóstej rano. Przyjechaliśmy do Galma, stacji pierwszej klasy w prowincji Gangwon. Gdy wysiadam z wagonu, powiew porannego powietrza na mojej twarzy jest odświeżający. Dociera do mnie, jak bardzo spięty byłem w obecności żołnierzy. Wyprzedza mnie dyrektor do spraw polityki DZF Chae Chang Guk, a przy tym trąca mnie łokciem i rzuca uśmiech. Jak małe dziecko nie umie ukryć podniecenia.

Ponownie się przesiadamy – do kolejnej czekającej furgonetki. Po godzinie jazdy, i tym razem w milczeniu, wysiadamy na niewielkiej przystani ze wszystkich stron otoczonej betonowym murem, gdzie czeka na nas motorówka.

Fale łagodnie chlupoczą, lecz słona woń morskiej wody jest oszalamiająca.

Silnik ożywa. Motorówka rusza z mocnym szarpnięciem i ogłuszającym rykiem. Po chwili dociera do mnie, że po raz pierwszy w życiu płynę łodzią. Przyśpiesza szaleńczo, jakby chciała wyrzucić mnie do wody. Pochylam się, żeby chwycić się poręczy, lecz nagle żołnierz obejmuje mnie od tyłu i przytrzymuje mi dłonie. Po plecach przebiega mi dreszcz. Mówię sobie, że im bliżej jesteśmy Drogiego Przywódcy, tym silniej musimy okazywać naszą wiarę w niego. Rozglądam się i widzę, że każdego z pozostałych sześciu mężczyzn również przytrzymują żołnierze zachowujący się jak ludzkie pasy bezpieczeństwa. Spoglądam daleko wstecz, gdzie dwie smugi białej piany zlewają się za nami w ciągły strumień, i wołam na całe gardło, przekrzykując warkot silnika:

– Czy to łódź marynarki wojennej?!

Mój strażnik marszczy czoło, usiłując dosłyszeć, co mówię, a potem uśmiecha się pod nosem.

– Marynarki wojennej?! Ha! Marynarka nie ma takich prędkich łodzi! Ona jest nasza! Należy do Dowództwa Gwardii! Szybka, prawda?!

Dowództwo Gwardii odpowiada za ochronę rodziny Kima. Liczy sto tysięcy żołnierzy piechoty, marynarki i lotnictwa.

Chociaż mój stróż jest zmuszony krzyczeć, dostrzegam, że porzucił ton służbisty i rozmawia swobodnie, być może dlatego, że nie mamy już publiczności. Od razu czuję się trochę lepiej. Ma rację, łódź jest bardzo szybka: wiatr zrywa jednemu z gwardzistów czapkę z głowy, niesie ją w morze i rzuca na wodę. Patrzę na czapkę malejącą pośród fal i znikającą w dali.

Po około dwudziestu minutach zwalniamy nieopodal wyspy

porośniętej drzewami. Zastanawiam się, czy pływaliśmy w kółko po niewielkiej przestrzeni tak jak w drodze na stację Yongsung. Dziób łodzi opada na wodę i wyspa staje się wyraźnie widoczna. Od czystośćkiej kei po wypielęgnowany lasek po obu stronach chodnika wszystko jest nieskazatelnie czyste. Wygląda tak, jakby całość ukończono wczoraj. Dociera do mnie, że spodziewałem się zastać Drogiego Przywódcę czekającego na nas na pomoście z rozwartymi ramionami, jak to robi w filmach rewolucyjnych. To trochę zaskakujące, że nikt nas nie wita.

Strażnicy prowadzą nas do dużego domu, gdzie zajmujemy miejsca w sali o powierzchni około tysiąca metrów kwadratowych. Każą nam milczeć. Wszystko jest białe: krzesła, podłoga, ściany. Nie ma okien. Zamiast nich świecą wmontowane w ściany zielonkawe panele.

O wpół do pierwszej, ponad cztery godziny po przybyciu na wyspę, nagle wokół nas zaczyna się ruch. Strażnicy w białych rękawiczkach spryskują czymś krzesło, na którym usiądzie Drogi Przywódca.

Towarzysz wicedyrektor każe nam znowu stanąć gęsiego. Dla bezpieczeństwa mamy zdjąć i oddać zegarki. Każdemu z nas wręczają niedużą kopertę. Znajduje się na niej japoński nadruk. Wewnątrz jest mała bawełniana szmatka, która pachnie alkoholem.

– Musicie zdezynfekować dłonie, zanim podacie rękę Generałowi – poucza nas towarzysz wicedyrektor. Potem podchodzi i właśnie do mnie kieruje kolejną, surową instrukcją: – Nie wolno patrzeć Generałowi w oczy. – Wskazuje na drugi guzik swojego munduru i mówi: – Macie patrzeć tutaj. Zrozumiano?

Zastanawiam się, czy chodzi o to, żeby mi uzmysłowić moją niższość wobec Drogiego Przywódcy, ale ta myśl prędko mija. Czekamy dalej, tymczasem towarzysz wicedyrektor podejmuje ostatnie decyzje związane z przydziałem miejsc. Znowu trafiłem na koniec. W pomieszczeniu znajduje się siedmiu cywili i ponad dwudziestu gwardzistów. Przez kolejne dziesięć minut stoimy sztywno, wpatrując się w zamknięte wrota. Są duże, białe, ozdobione połączanymi kwiatami.

Gdy w końcu się otwierają, wchodzi przez nie gwardzista w randze pułkownika i staje na baczność.

– Teraz do pomieszczenia wejdzie Generał – oznajmia.

Wszyscy i wszystko zastyga jak kamień. Nie ruszając głową, zawieszam wzrok w połowie wysokości łuku, gdzie wkrótce pojawi się twarz Kim Dzong Ila.

Mija kolejna minuta. Niespodziewanie do sali wtacza się mały biały szczeniak. To maltańczyk o kręconej sierści. Za nim pojawia się stary człowiek, który goni swego pieska. Wszyscy chórem witamy Drogiego Przywódcę:

– Niech żyje Generał! Niech żyje Generał!

Od naszego wspólnego okrzyku bolą mnie bębunki, ale szczeniak na nic nie zwraca uwagi. Pewnie przywykł do takiej pompy. Natomiast Drogi Przywódca chyba jest zadowolony, że jego piesek wykazał się taką odwagą, bo schyla się, żeby go pogłaskać. Potem mruczy mu coś do ucha.

Czuję się rozczarowany, widząc Drogiego Przywódcę z bliska, ponieważ mam przed sobą starego człowieka, który w niczym nie przypomina znajomej postaci Wodza Ludu. Chociaż głośno klaszczemy i wiwatujemy, nie odpowiada, chyba w ogóle nas nie zauważa. Dalej bawi się ze szczeniakiem; zdaje się rozżalony, że otaczają go ludzie młodszy od niego. Podnosi

wzrok, jak gdyby czytał mi w myślach, a wtedy na moment staje mi serce. Wołamy jeszcze głośniej, jakbyśmy wszyscy czekali na tę chwilę:

– Niech żyje Generał! Niech żyje Generał!

On rozgląda się po sali, a potem rusza w moją stronę.

Przygotowuję się na wspaniałe spotkanie, ale mijają mnie i zatrzymuje się przed hasłem, które widnieje na ścianie za nami. Żółtymi literami na czerwonym tle napisano: Służmy Wielkiemu Przywódcy Towarzyszowi Kim Dzong Ilowi, oddając mu swe życie!

– Kim Yong Sun! – woła. Sekretarz partii Kim Yong Sun podbiega do niego błyskawicznie. – To jest ręcznie malowane? – pyta go Kim Dzong Il. – Czy drukowane?

Z bliska jego głos zaiste należy do wielkiego przywódcy. W każdej sylabie rozbrzmiewa najwyższy autorytet.

Widząc, że Kim Yong Sun się waha, odpowiada za niego towarzysz wicedyrektor:

– Ręcznie malowane, Generale.

– Dobrze wygląda – mówi Kim Dzong Il. – W zeszłym tygodniu pojechałem gdzieś, gdzie hasła wydrukowali na emalii. Ale ręcznie malowane wyglądają dużo lepiej, nie sądzicie?

Tym razem Kim Yong Sun ma gotową odpowiedź:

– Tak jest, Generale, zgadzam się. Już się o to dowiadywałem. Poinformowano mnie, że będziemy dalej produkować hasła emaliowane, bo ręcznie malowane wymagają drogich materiałów z importu.

Kim Dzong Il nie zwraca na niego uwagi. Cofa się o parę kroków, jeszcze przez kilka sekund ogląda slogan, a potem z szybkim ruchem ręki wydaje polecenie:

– Wymienić istniejące egzemplarze tego hasła w całym kraju na ręcznie malowane.

Próbuję policzyć to w myślach. Ile będzie kosztował taki projekt? Właśnie w tym momencie Generał obraca się i odzywa się do mnie zniecka:

– Ty, chłopcze! – huczy. – Czy to ty napisałeś ten wiersz o lufie karabinu?

Wyszczekuję starannie sformułowaną odpowiedź:

– Tak, Generale! Być w waszej obecności to dla mnie zaszczyt!

Podchodzi do mnie, uśmiechając się pod nosem.

– Ktoś napisał go za ciebie, prawda? Niech ci nie przyjdzie do głowy kłamać. Każę cię zabić. – Kiedy wpadam w panikę, Drogi Przywódca parska śmiechem i szturcha mnie w ramię. – To komplement, głuptasie. Ustanowiłeś nowy standard dla całej ery *Songun*.

Nie potrafię się odezwać i wcale mi nie pomaga, że Kim Yong Sun świdruje mnie wzrokiem. Zanim Generał zdąży zająć miejsce, Kim Yong Sun znajduje okazję, żeby mnie skarcić.

– Głupi gnojku. Powinieneś był mu podziękować. Powinieneś obiecać, że będziesz mu pisał wiersze lojalności nawet zza grobu – syczy mi do ucha.

Potem ponownie przybiera radosny wyraz twarzy i goni za Kim Dzong Ilem. Wraca na swoje miejsce i łagodnie przesuwając dłońmi po pośladkach, zanim dotkną krzesła, tak jak kobieta, która siadając, przygląda sukienkę. Reszta oficjeli zachowuje się nie mniej uroczyście. Wydaje się, że zamiast prawdziwych ludzi posadzono tu rzeźby niezdolne do ruchu. Najaktywniejszą istotą w sali jest maltańczyk Drogiego Przywódcy. Skomli

podniecony i biega wokół nóg swojego pana.

Kim Dzong Ila nie interesują rozmowy towarzyskie. Jego uwagę skupia biały szczeniaczek. Generał koncentruje się na tym, co robi piesek, co może myśleć. Raz po raz woła jednak: „Hej, Im Tong Ok!” albo „Hej, Chae Chang Guk!”, a wtedy przywołany mężczyzna biegnie do niego na rozmowę. To osobliwa scena, w której Drogi Przywódca wyżej ceni szczeniaczka niż każdego ze swych najlojalniejszych ludzi.

Po dziesięciu, może piętnastu minutach otwierają się podwójne drzwi. Pojawiają się mężczyźni w białych smokingach i czerwonych muszkach, wysoko niosąc tace. Na drugim końcu sali technicy zgięci w pół pokornie uwijają się na scenie, ustawiają mikrofony oraz światła. Orkiestra zajmuje miejsca i zaczyna grać. Zaraz rozpocznie się uczta. Czuję się trochę rozczarowany, ponieważ spodziewałem się usłyszeć z ust Drogiego Przywódcy nowy wzniosły aforyzm albo złotą myśl. Wkrótce jednak jedzenie i muzyka pozwalają mi o wszystkim zapomnieć. Jestem urzeczony.

Ilećroć obsługa wnosi kolejne danie, światła w panelach ściennych przybierają nowy niesamowity kolor. Kiedy na stół trafiają warzywa, jaskrawa trawiasta zieleń zmienia się w jasny fiolet, a gdy wniesione zostaje mięso, fiolet przechodzi w głęboką czerwień. Odkrycie, że światła mogą być częścią sposobu podania posiłku, oszałamia mnie. Półmisek z rybą lśni tak bardzo, że nie czuję smaku potrawy. Rozmieszczone wokół niego maleńkie światła punktowe sprawiają, że rybnie łuski migoczą.

Wino jest nieco cierpkie. Mój kelner, który jak cały personel Kim Dzong Ila również należy do Dowództwa Gwardii i ma stopień wojskowy, wskazuje napis *Baedansul* na etykiecie

butelki. Zawartość opisuje jako czterdziestoprocentowy alkohol opracowany w Instytucie Nauk Fundamentalnych. To ciało naukowe zajmuje się badaniem zdrowia Drogiego Przywódcy, dlatego również podlega Dowództwu Gwardii. Pracuje tam trzy tysiące naukowców, którzy tworzą i przygotowują leki mające przedłużyć życie Kim Dzong Ila. Aby sprawdzić działanie różnych lekarstw i pokarmów, posługują się grupą doświadczalną złożoną z mężczyzn z całego kraju o tych samych chorobach i budowie ciała co Drogi Przywódca. Z dumą mogę powiedzieć, że wiem o tej ważnej pracy więcej niż większość ludzi, ponieważ w Instytucie pracuje starszy brat mojego kolegi.

Kulminacją bankietu jest deser. Otrzymuję puchar z dużą kulką lodów, które kelner polewa przejrzystym alkoholem, a potem podpala. W naczyniu tańczy dziki błękitny płomień. Gdy nabieram trochę lodów na małą łyżeczkę, ogień unosi się wraz z nią. Kim Yong Sun trąca mnie w ramię i radzi:

– Najpierw zdmuchnij, dopiero potem jedz. Ale nie za dużo. Bardzo mocne – dumnie dzieli się tą informacją.

Na moment zatracam się w sprzecznych odczuciach ciepła i chłodu w ustach. Potem Kim Dzong Il przywołuje mnie ruchem dłoni.

Kiedy odwiedza się dom lub miejsce pracy członka aktywu, który dostał zaszczytu uczestniczenia w bankiecie zorganizowanym przez Drogiego Przywódcę, na honorowym miejscu w gablocie zawsze stoi kieliszek, którym się z nim stuknął. Rozumiem, że Drogi Przywódca chce obdarować mnie takim skarbem. Kelner, stojący właśnie z tego powodu w pobliżu, prędko wręcza mi duży kieliszek. Nieprzygotowany, pośpiesznie niosę naczynie do Kim Dzong Ila, a ten napełnia

je ciemnoczerwonym winem i mówi: „Oby tak dalej”.

Zgięty w pół w głębokim ukłonie widzę pod stołem jego stopy. Zdjął buty. Nawet Generał nie jest wolny od przekleństwa obolałych stóp! Zawsze wyobrażałem go sobie jako boską istotę, która nie chodzi nawet do toalety. Tak nas uczono w szkole i tak mówi partia: żywot naszego Generała to nieustająca seria cudów; a my wszyscy, śmiertelnicy, nie dorównalibyśmy mu przez całe życie. Otrzymawszy wspaniałe zaproszenie do jego kręgu, sądziłem, że wkroczę w boski wymiar czasu.

Oto jednak stoję i zaglądam w jego buty z wysokimi obcasami i wewnętrznym koturnem grubości co najmniej sześciu czy siedmiu centymetrów. Te buty zwodzą jego lud. Chociaż rzadkie ondulowane włosy pozornie dodają mu wysokości, bosy Drogiego Przywódca nie może mieć więcej niż metr sześćdziesiąt centymetrów wzrostu.

Po jego wcześniejszych majestatycznych rozkazach jestem zdezorientowany również tym, jak Generał wysławia się przy stole. Używa ordynarnego slangu. We wszystkich książkach i na wszystkich wykładach, które czytałem i których słuchałem od dziecka, jego słowa przytaczane są nie tylko jako przykłady idealnego języka, ale również mówią prawdę o naszej ojczyźnie. Mowa Drogiego Przywódcy jest zawsze elegancka, piękna, a przede wszystkim uprzejma wobec ludu. Dziś jednak Kim Dzong Il miesza podmiot z orzeczeniem. Nie nazywa nawet nikogo towarzyszem, tylko woła członków aktywu per ty albo chłopcze. To nie ma sensu.

Pod koniec deseru barwne światło przygasa. Na scenie pojawia się kobieta ubrana w białą sukienkę w zachodnim stylu z odsłoniętymi ramionami. Orkiestra gra instrumentalny wstęp, a potem kobieta zaczyna śpiewać rosyjską pieśń ludową.

Kiedy śpiewa, Kim Dzong Il zaczyna drżeć. Choć światła są skierowane na artystkę, protokół nakazuje nam skupiać uwagę wyłącznie na nim. Patrzymy, jak wyjmuje lśniąca białą chustkę. Mrugam, a wtedy członek aktywu siedzący obok mnie również sięga po chusteczkę. O dziwo pozostali robią to samo. Potem Generał nieco pochyla głowę i ociera kąciki oczu. Nie wierzę w to, co widzę. Oto oglądam jego łzy! Cóż się ze mną stanie po tym, gdy patrzyłem na coś tak intymnego?

Mocno zaciskam powieki z podziwu i przerażenia.

Kiedy je otwieram, widzę najdziwniejszą scenę w swoim życiu. Moi towarzysze, którzy niedawno promienieli radością podczas uczty z Drogim Przywódcą, zaczęli płakać. Jak to się stało? Czy ujdę z tego bankietu z życiem? Zanim jednak zdążę pomyśleć o czymś jeszcze, mnie też pieką oczy i łzy płyną mi po policzkach. Tak, muszę płakać. Żyję w lojalności wobec Generała. Nie tylko lojalności w myśli i czynie, ale także lojalności duszy. Gdy powtarzam w sercu te słowa: „muszę płakać, muszę płakać”, moje łzy są coraz gorętsze, z głębi mego jestestwa wrywa się okrzyk bólu.

Nie umiem opanować drżenia, a tymczasem pieśń się kończy. Nie ma braw, salę wypełnia zawodzenie. Powoli zapalają się światła, a nasz płacz prędko słabnie, przeradzając się w ciche pochlipywanie, jakbyśmy wcześniej to przećwiczyli.

Ocieram oczy i rozglądam się wkoło, patrzę na twarze członków aktywu. Jeszcze przed chwilą płakali, lecz teraz bacznie wpatrują się w Drogiego Przywódcę, wyczekując komendy do kolejnego aktu synchroniczności. Po raz pierwszy w życiu żenuje mnie lojalne posłuszeństwo.

W drodze powrotnej do domu prześladowuje mnie niepokojące pytanie. Dlaczego Drogi Przywódca płakał? Zdaję sobie sprawę z tego, że północnokoreański Departament Propagandy i Agitacji postanowił pokazać go we łzach po śmierci jego ojca Kim Il Songa w 1994 roku, kiedy w całym kraju zawalił się państwowy system dystrybucji. Na początku 1995 roku pogłoski, że na prowincji ludzie umierają z głodu, zaczęło uwiarygadniać to, co działo się w samym Pjongjangu.

Kiedy centra dystrybucji żywności zamknięto, a ucieczki z pracy w poszukiwaniu jedzenia rozprzestrzeniały się niczym wirus, partia wprowadziła slogan: „Jeśli przeżyjesz tysiąc mil cierpienia, czeka cię dziesięć tysięcy mil szczęścia”. Stan niedoboru żywności oficjalnie nazwano Żmudnym Marszem, a ludność zachęcano do pójścia za przykładem naszego Generała, który stał na czele zmagania.

Na dowód tego stale grano w telewizji pieśń pod tytułem *Kulki ryżowe Generała*. Opowiadała o tym, że Drogi Przywódca co dnia przemierza setki mil, niosąc wsparcie mieszkańcom całego kraju, a żywi się tylko jedną kulką ryżu. Przed rozpoczęciem Żmudnego Marszu telewizja zawsze pokazywała naszego Wodza uśmiechniętego, bo prowadził nas do zwycięstwa socjalizmu. Kiedy ludzie po raz pierwszy zobaczyli na ekranach łzy naszego boskiego Drogiego Przywódcy, wybuchali masowo spontanicznym, nieopanowanym płaczem.

Gdy jadę do domu, dogłębnie porusza mnie moja reakcja na widok prawdziwych łez Kim Dzong Ila. Towarzyszy mi niepokojąca myśl, z której trudno się otrząsnąć: to nie były łzy współczującego bóstwa, ale zrozpaczonego człowieka.